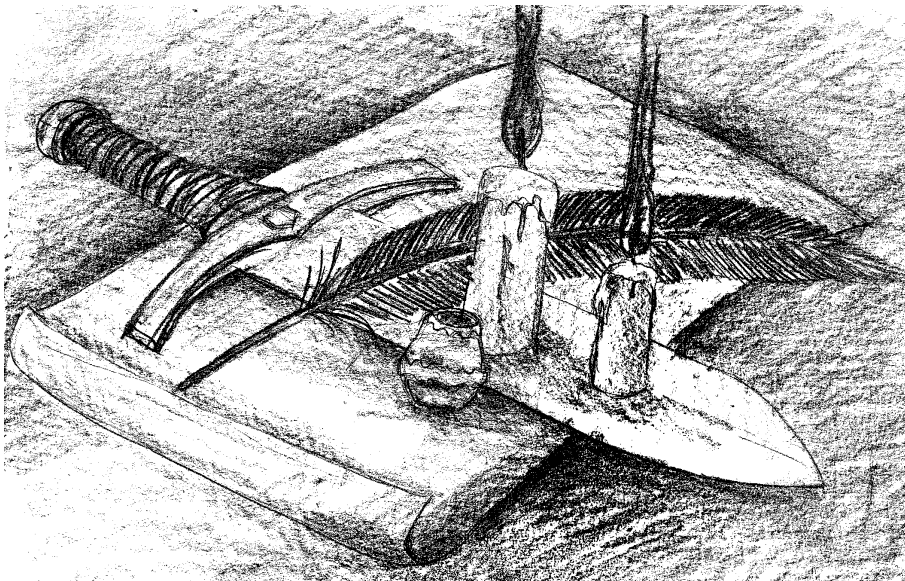


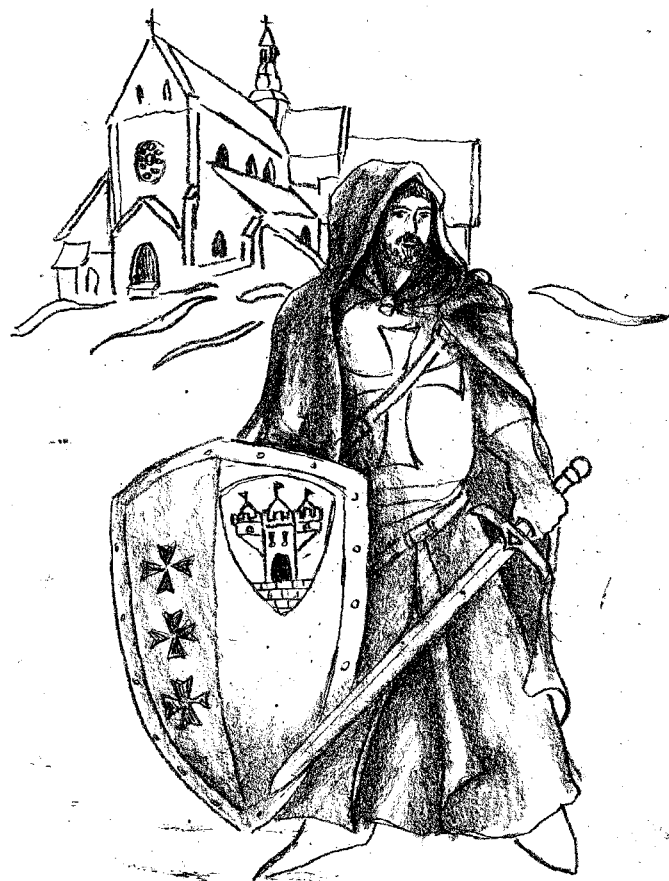
JAKUB
CYSTERIUS

JAROSŁAW ŚMIECHOWICZ

JAKUB CYSTERIUS



Wolbórz 2015



Rysunki: Jarosław Śmiechowicz

Korekta: MKG

Copyright © by Jarosław Śmiechowicz, tel. 505-348-022

ISBN 978-83-926144-1-8

Rozdział 1 Droga do opactwa

Noc przepojona ciszą otulała puszcę wraz z jej mieszkańcami. Gwieździste niebo obnażało swój majestat. Księżyc skrył się już za drzewami i jedynie gwiazdy rozświetlały okolicę. Gdzieś w oddali zawyły wilki, gdzie indziej zahuczała sowa i przelatując nad jeźdźcem, spłoszyła zwierzę trzepotem potężnych skrzydeł. Koń wzdrygnął szyją i rozrzucił długą grzywę, ale poklepany po niej przez siedzącego na nim człowieka uspokoił się, po czym zapadł w sen do czasu, gdy noc pochyliła się ku upadkowi.



Niebo pojaśniało, a z krzaków zaczęło dobiegać początkowo nieśmiałe, potem coraz dobitniejsze ćwierkanie małych ptaszków. Przeskakiwały z gałęzi na gałąź, nie zwracając uwagi na rumaka i jeźdźca. Koń ze spuszczoną głową stał nadal nieruchomo niczym w letargu. Na nim siedział człek odziany w lniany habit, zakryty kapturem. Szara szata wtopiona w siodło zlewała się z otoczeniem i na tle spowitego w lekkiej mgle lasu stawała się niemal niewidoczna. Gdy słońce wyłoniło się zza horyzontu i rzuciło swój blask na drzewa, a na polanę wyszła z zarośli wataha dzików, które z zapalem przetrząsały ziemię w poszukiwaniu pożywienia, koń parsknął. Dzikie zwierzęta na chwilę zastygły w bezruchu, ale upewniwszy się, że nie ma żadnego zagrożenia, dalej węszyły i rozgrzebywały ziemię. Co chwila któreś

z nich unosiło łeb, mlaskając pyskiem, co świadczyło, że smaczkowite kąski występują w tej okolicy w obfitości. Po pewnym czasie jeździec, jakby obudzony promieniami słońca, podniósł ręce i zrzucił z głowy kaptur. Lekko ścisnął kolanami boki konia, a ten ruszył z wolna w kierunku polany. Jeździec wyłonił się z cienia. Nie płosząc żerującego stada, poruszał się pomiędzy osobnikami, przyglądając się każdemu z osobna. Koń stąpał delikatnie po wilgotnej ziemi. Jeździec wyglądał na zmęczonego. Pogarbiony, z zarośniętą twarzą wpatrywał się ciemnymi oczyma we wszystko, co mijał, jakby widział to pierwszy raz.



Gdy oddalił się od skraju lasu, w promieniach słońca można było dostrzec lśniąca uprzęż konia, garbowane i ozdobione cekinami siodło, do którego był przytroczony płócienny, okręcony skórzanym rzemieniem pakunek. Kiedy koń wspiął się na piaszczyste zbocze, oczom jeźdźcy ukazała się zielona dolina przecięta rzeką niczym niebieską wstęgą pofałdowaną w różnych kierunkach, stanowiącą naturalną przeszkodę dla wszystkiego, co żyje i nie potrafi pływać. Zbliżywszy się do brzegu, człowiek zsiadł z konia. Zwierzę poczłapało w kierunku wody i zanurzywszy się po kolana, zaczęło pić. Człowiek położył się na trawie tuż przy brzegu. Nachyliwszy się nad lustrem wody, usta do niej zbliżył i pił. Kiedy zaspokoił pragnienie, pod-

niósł lekko głowę i ujrzał w wodzie swoje odbicie. Wpatrywał się przez chwilę w swoją twarz. Zamyślił się, a gdy wrócił myślami do rzeczywistości, uderzył ręką w lustrzaną powierzchnię, a odbicie jego stało się pofałdowane i zniknęło, jakby rozpadło się na wiele kawałków, po czym odpłynęło z nurtem rzeki. Ukłękł tedy na kolanach i wznosząc ręce do nieba, zaczął powtarzać słowa jakiejś modlitwy. Gdy uspokoił swoją duszę, wstał, energicznie dosiadł konia i ruszył wzdłuż rzeki.

Koń początkowo truchtał, ale z biegiem czasu ruch jego przerodził się w galop. Gnał pośród zarośli i nabrzeżnych trzcin, płosząc stada dzikiego ptactwa. Łabędzie i dzikie kaczki z jazgotem wznosiły się ku niebu, obwieszczając okolice o pędzącym jeźdźcu. Co chwila z łąki w stronę lasu czmychały płochy jelenie. Łoś wszedł na pływiczną zakola rzeki, odprowadził pędzącego konia spojrzeniem i zanurzył mordę w wodzie, szukając pożywnych kłączy wodnych roślin.

Koło południa wędrowiec dotarł do miejsca, gdzie woda stała się płytsza, a piaszczyste dno obnażało swój urok. W tym miejscu mógł się jeździec przeprawić. Pognał więc konia w nurt. Pod powierzchnią wody widział pełzające na dnie raki oraz ławice małych rybek, które podpływały do końskich nóg. Nie mocząc nawet brzucha, zwierzę przebrnęło przez rzekę na drugą stronę. Tam, na piaszczystej drodze, mężczyzna zauważył kilku ludzi maszerujących z tobołkami na ramieniu w kierunku przeprawy. Zatrzymał przy nich konia i zapytał:

– Czy do klasztoru tą drogą?

Tedy oni, pochyliwszy głowy, wskazali drogę, a najstarszy rzekł:

– Panie, do młyna pojedziesz tą drogą, potem nad jeziorkiem wedle krzyża i zanim słońce zajdzie, będziesz w klasztorze.

Jeździec wyciągnął spod habitu pieniądze i cisnął na ziemię. Srebrzysta moneta, lśniąc w promieniach słońca, spadła na piaszczystą drogę.

– To za wskazanie drogi – rzekł wędrowiec.

Jeden z pieszych podniósł pieniądze i podał starcowi. On, unosząc go ku górze, krzyknął:

– Bóg z tobą, wędrowcze!

Jeździec jakby nie słyszał. Nie odpowiedział nic więcej, pogalopował przed siebie.

Po pewnym czasie, zgodnie z tym, co rzekli, ujrzał jeziorko, którego brzegi porośnięte były bujną roślinnością. Gęste tatarakiem i trzcinami, stanowiły dogodne miejsce do budowania gniazd przez wodne ptaki.

Bezwietrzny dzień sprawił, że woda na jeziorze była spokojna. Idealna powierzchnia stanowiła lustrzane odbicie tego, co je otaczało. Po drugiej stronie znajdowało się kilka domostw. Pośród nich, przy samym jeziorze, wznosił się drewniany budynek pokryty strzechą. Wielkie koło przyozdabiało jego boczną ścianę. Zanurzone w wodzie, czerpało z niej energię i w miarę jak jeździec zbliżał się do niego, tępy odgłos i chłupot wody zdradzały, że to ów młyn czerpie siłę do mielenia zboża z nieskończonego źródła wodnego spichlerza. Miejscowi widocznie z dala dostrzegli wędrowca, gdyż wybiegły ku niemu dzieci. Jakiś dorosły mężczyzna stał nieopodal



młyna wsparty na kiju. Obserwował jeźdźca. Inny z podrostków zaganiał stado owiec, poklepując je kijkiem.

Wtem dorosły krzyknął na niego, by zwierząt nie bił, a zaganiał bardziej ochotczo i wskazywał drogę, coby stadko samo do zagrody weszło.

Konny podjechał bliżej, zsunął z głowy kaptur. W blasku słońca ukazała się jego twarz. Widocznie groźnie wyglądał, gdyż dziatwa zatrzymała się natychmiast, tuląc się jedno do drugiego. Gdy obcy dojechał do dzieci, zatrzymał rumaka. Poczekał, aż gospodarz podejdzie, a kiedy był już przy swoich pociechach, powiedział:

– Gospodarzu, czy ugościsz strudzonego wędrowca?

Ten przytaknął. Wydał polecenia dziatwie, by doniosła mleka w dzbanie i świeżego chleba. Jeździec zsiadł z konia. Wtedy najstarszy z dzieciaków zaproponował:

– Jeśli, panie, pozwolisz, nakarmię twego wierzchowca i umyję go w jeziorze.

Jeździec przytaknął, więc chłopiec, zrzuciwszy z konia siodło i uprzęż, poprowadził go do jeziora. Gospodarz wskazał drogę do domostwa, ale wędrowiec nie wszedł do środka. Zasiedli więc na starym pniu, a kiedy gospodarz położył przed nim bochen chleba, a ten, wykonawszy na nim znak krzyża, począł dzielić między wszystkich, którzy obsiedli go wkoło.

Tymczasem koń wszedł do wody, chłopiec chlapał go i szorował jego kark gołymi rękoma. Zwierzę piło wodę i rżało radośnie. Kiedy już nasyciło się wodą i uniosło łeb, strzygąc uszami, wędrowiec krzyknął do chłopca:

– Jeśli zdołasz, dosiądź i odprowadź konia do waszej zagrody!

Rumak nie stawiał oporu, a kiedy chłopiec znalazł się na jego grzbiecie, pognął do drewnianej zagrody pośród innych zwierząt.

Gdy wędrowiec się posilił chlebem i chłodnym mlekiem, zapytał gospodarza:

– Jak daleko jeszcze do klasztoru?

Ten, wpatrując się w jego twarz, rzekł:

– Za trzy pacierze, panie, dogalopujesz na tym wspaniałym wierzchowcu.

Wtedy wędrowiec zapytał ponownie:

– A pieszo?

Zdziwiony gospodarz po chwili zastanowienia odparł:

– Pieszko przed zachodem słońca, panie.

Posiliwszy się, człowiek wstał, wyciągnął zza habitu wiszący na jego szyi na rzemiennym sznurze krzyż z wizerunkiem Chrystusa. Przycisnął go do ubrania na piersi i odsunął rękę tak, by był widoczny, po czym podszedł do gospodarza i szepnął:

– Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa?

Chłop wzdrygnął się zaskoczony takim pytaniem. Tamten powtórzył:

– Czy wierzysz?

– Tak, panie – odrzekł przestraszony chłop. Po chwili dodał: – Tamten krzyż przy piaszczystej drodze jam postawił, by wędrowcy nie błądzili.

Człowiek, wyglądający na mnicha, zarzucił ponownie kaptur na głowę, po czym zwrócił się do gospodarza:

– Więc posłuchaj mnie uważnie, młynarzu.

Mówiąc te słowa, wziął do ręki długi, owinięty szarym płótnem i zawiązany rzemieniami pakunek. Ścisnął go jakby na pożegnanie i wkładając w ręce młynarza, rzekł:

– Ukryjesz to w miejscu znanym tylko tobie. Ukryjesz to przed oczyma wszystkich. Ukryjesz to przed moimi oczyma. Tak, by nikt nigdy tego nie odnalazł. A jeśli zdradzisz komukolwiek naszą tajemnicę, wiedzę, że jestem mnichem, sługą Boga Najwyższego i mam moc przekleństwa.

Młynarz złapał go za ramię i odparł:

– Nie musisz kończyć, panie, nie musisz! Ukryję tak, by nikt nigdy tego nie odnalazł. Jeśli ty nie przypomnisz, to ja zapomnę aż do grobowej deski!

Mnich spojrzał głęboko w oczy młynarza i pewnie dostrzegł w nich prawdę, bo złagodniał i spokojnym już głosem dodał:

– Twój syn, ten który obmył konia, zaopiekuje się nim. Gdyby ktokolwiek pytał skąd masz to zwierzę, powiedz, że sługa boży kazał się o niego troszczyć, dopóki nie powróci.

– A jeśli nie powrócisz, panie? – zapytał młynarz.

Na to mnich, chowając krzyż pod habit, odparł:

– Widziałem jak dbasz o zwierzęta. Dosiadaj tego konia i niech ci służy, a jeśli nie powróce, będzie twoją własnością.

W końcu wstał, wykonał znak krzyża nad głowami zebranych wokół niego i udał się w dalszą drogę. Odchodząc, rzucił na ziemię kilka monet i dodał:

– To za gościnę i jadło. Może Bóg wynagrodzi wam w niebie, ja wynagradzam teraz!

Młynarz zagonił dzieci do codziennych zajęć, po czym ukrył to, co mnich pozostawił tak, by niczyje oczy tego nie dostrzegły.

Kiedy słońce zaszło za horyzont, wędrowiec dotarł do wrót klasztoru. Wysokie mury z białego kamienia, wieżyce na rogach i masywne drewniane wrota chroniły dom boży przed intruzami. Nie wpuszczano do jego wnętrza żadnych ludzi po zapadnięciu zmroku. Wędrowiec w ukryciu odczekał do późnej nocy. Gdy wilki zaczęły wyć, a księżyc wspiął się na niebo i oświetlił całą okolicę, podszedł bezszelестnie do wrót klasztoru i zaczął uderzać pięścią w masywne, dębowe wrota. Odgłos uderzeń, nabierający na sile i szarpiący nocną ciszę, zbudził pewnie mieszkańców, bo zapaliły się w oknach pochodnie, a stukot drewnianych trepów o kamienną posadzę zwiastował, że ktoś się zbliża do wrót. Kiedy jakiś człowiek wyjrzał przez małe okienko w kamiennym murze, wędrowiec odsunął się od wrót tak, by go widziano i zanim tamten cokolwiek powiedział, krzyknął:

– Jestem sługą Boga, przybyłem z polecenia mojego zwierzchnika, by wam, zacni bracia, służyć.

Głos zza wrót szorstko odpowiedział:

– Skoro przybyłeś, by służyć Bogu, poczekasz do rana w modlitwie, by przekroczyć bramę klasztoru z czystym sercem i umysłem.

Wędrowiec nie odpowiedział. Ukląkł u wrót i tak zastygł w modlitewnym wyznaniu do samego rana.

Nocne ptaki krążyły nad skupionym na modlitwie i zamarłym w bezruchu człowiekiem. Sowa załopotana skrzydłami, nietoperze uganiały się nad jego głową, jakieś dzikie zwierzęta warczały i popiskiwały w zaroślach. On kamienny, niczym niewzruszony czekał świtu.

Kiedy weszło słońce, otwarto wrota do klasztoru. Mnich czekał, aż z wnętrza wyjdzie ktokolwiek. Doczekał się. Zza wrót wyszedł krępy mężczyzna w średnim wieku, odziany w biały habit z kapturem, podobny do tego, jaki miał na sobie wędrowiec. Wskazał nań ręką, a kiedy ten wstał, poprowadził go do wnętrza klasztoru. Minąwszy masywne drzwi, przeszli ciemnym korytarzem, by w końcu dotrzeć do jakiegoś pomieszczenia. Ściany pokryte wapnem i posadzka z czerwonego kamienia rzucały się w oczy. Surowe wnętrze odpychało. Nie było w nim żadnego symbolu wiary ani miejsca na spoczynek. Tam go pozostawiono.

Czekał ów człowiek do czasu, aż ponownie po niego przyszedł ten, który wprowadził go od bramy. Poszli przez długi korytarz do pomieszczenia, w którym było kilku innych, odzianych podobnie. Stał tedy wędrowiec przed obliczem sług bożych. Nie mówiąc nic, czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Jeden z nich, który stał na dębowym podwyższeniu z wyraźną niechęcią zapytał:

– Kim jesteś i skąd przybywasz?

On odparł po chwili milczenia:

– Jestem tak jak i wy, dostojni bracia, sługą Boga Najwyższego. Przybywam z daleka, aby służyć zakonowi. Taka była wola boża, takie otrzymałem zadanie.

Wtedy tamten odburknął:

– A skąd nam wiedzieć, czyś ty nie jaki przybłęda i pod duchowne szaty się nie podszywasz?

Więc wędrowiec westchnął i odparł jakby od niechcienia:

– Nie wierzycie, choć wiara ma was ku Bogu zbliżyć!

Wyciągnął zza habitu skórzany przedmiot odziany w skórzaną oprawę, w kształcie walca. Z wnętrza wydobyl list, ukryty tam do tej pory, i podał go pytającemu. Ten chwycił papier zwinięty w rulon i opieczętowany. Przyjrzał się pieczęci i już miał ją zerwać, kiedy wędrowiec wyszeptał tak, by obecni tam musieli wyteńczyć swój słuch:

– Odczytać go może tylko biskup.

Wtedy tamten zawahał się, a po chwili odrzekł:

– Biskup zjawi się dopiero wiosną. Jak to mamy tak długo czekać?

Wędrowiec poczuł, że teraz on jest na wygranej pozycji. Spokojnie więc odparł, bez nadmiernej grzeczności:

– Dla Boga czas nie ma znaczenia. Odczytajcie go, kiedy chcecie, ale służby mają służyć, panie!

Tamten, zniechęcony takimi argumentami, podał list najstarszemu z zebranych. Nakazał, by ten zachował pismo do czasu wizyty biskupa, sam zaś wskazał izbę wędrowcy. Przydzielił mu przewodnika. Był nim brat Marcin, który po klasztorze miał go oprowadzić. Przykazano mu jeszcze, by po odwiedzeniu świątyni do następnego dnia nie wychodził z izby i czekał dalszych poleceń. Mnich pokłonił się i bez słowa oddalił w kierunku świątyni. Brat Marcin od tej chwili był mu aniołem stróżem.

Pokonawszy rozległy dziedziniec, mnich stanął u progu kościoła. Potężne, równo ociosane kamienie przylegające do siebie nawzajem stanowiły mury tej świątyni. Od zachodu znajdowało się główne wejście. Ciężkie, metalowe drzwi strzegły świątyni. Mnich zbliżył się do nich. Nad drzwiami widniał wyryty w kamieniu, jerozolimski krzyż – symbol Ziemi Świętej przybierany na pamiątkę pielgrzymek i krucjat. Z jego lewej strony czaiło się kamienne słońce zasłaniające księżyc. Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w rycinę.

Wspomnienia mnicha odżyły. Zapach pustyni, słony smak potu, uczucie bezradności i słabości wobec promieni bezlitosnego słońca powróciły. Widział obrazy, słyszał głosy przeszłości. Stanął przed wejściem, bijąc się z myślami. W końcu przemówił do swego przewodnika:

– Nie jestem godzien wejść tymi drzwiami.

Ręką dotykał ściany, odsunął się i poszedł do bocznego wejścia. Drzwi uchyliły się z piskiem pod naporem ręki mnicha. Pokonał je i wdrapawszy się po kilkunastopniowych, kamiennych schodkach, znalazł w świątyni. Chłód tego miejsca wystudził krew i złagodził wspomnienia. Przewodnik, brat Marcin, stanął na wprost ołtarza i w milczeniu obserwował poczynania wędrowca. Ten zdjął z nóg buty i bosymi stopami przemierzał kamienną posadzkę. Dotykał surowych ścian, potem przechodził od jednego filara do następnego, a przy każdym w skupieniu modlił się do

Najwyższego. Wtedy Marcin nie wytrzymał i by zaspokoić swoją ciekawość, zapytał:

– Co czynisz, bracie? Czy nie przy ołtarzu modlitwy składać należy?

Ten wyszeptał jedynie:

– Dziękuję Panu za to, że pozwolił wznieść takie filary. Muszą być niezwykle mocne, by utrzymać taką świątynię. Na mocnych nogach, mocny człowiek. Na mocnych murach, mocna świątynia. Widziałem, bracie, budowle potężne, niemal do nieba! Gdy nadszedł ich czas, zwały się na ziemię, wzbijając tumany kurzu. Nie pozostał kamień na kamieniu. Wszystko, co stworzymy, powstaje z prochu i w proch się w końcu zamieni. Zanim jednak to się stanie, na przestrzeni czasu powinniśmy szanować pomysły i zaangażowanie ludzi, którzy wnoszą wszelkie mury. Jak najwyższe, by być bliżej Boga.

Zastanowił się chwilę:

– Jak myślisz, bracie Marcinie? Czy wysokość świątyni ma znaczenie dla Boga?

Marcin, zaskoczony takim pytaniem, szukał odpowiedzi, ale mnich nie pozwolił mu zbyt długo wyęźać swego umysłu i sam odpowiedział:

– Dla Boga nie ma znaczenia wielkość, dla Niego ważna jest siła wiary wyznawanej zarówno w kościele, jak i na środku pustyni. W ciemnym borze oraz na ornym polu.

Widząc zażenowanie tamtego, zaprzestał dalszych wywodów.

Potem poszedł w kierunku ołtarza, gdzie znajdował się jedynie kamienny krzyż rozpostarty na całej niemal ścianie wschodniej kościoła. Tam, złożywszy ręce, podziękował Najwyższemu za to, że go nie opuszczał. Cokolwiek by to miało znaczyć.

Kiedy po chwilach skupienia, rozmowy z Bogiem i własnych przemyśleń braciszkanie wyszli ze świątyni, promienie słońca wdarły się do ich oczu, oślepiając na chwilę. Nim wzrok przyzwyczaił się do silniejszego natężenia światła, stali chwilę w milczeniu, nasłuchując odgłosów otoczenia. A ono żyło pełnią życia. Za kamiennym murem, oddzielającym świątynię od reszty dziedzińca, znajdowały się budynki wysokie niemal jak drzewa, z wieloma drzwiami i oknami oraz luftami wietrznymi. Były w nich magazyny żywności oraz warsztaty dla rzemieślników. Garbarze, szewcy, rymarze i krawcy mieli tam swe królestwo. Uchylone drzwi pozwalały sięgnąć wzrokiem i podejrzeć ich pracę. Większość swych usług wykonywali dla klasztoru, ale i ludzie z podległych wiosek mogli się u onych rzemieślników zaopatrywać, bo choć głównie Bogu ich służba była przypisana, to jednak zwykli śmiertelnicy również korzystali czasem z ich umiejętności. Dalej znajdowały się stajnie i obory, takie same były z drugiej strony klasztoru. Wszystko to otoczone murem tak, że zwierzęta, które uwolniły się z zagród nie mogły wydostać się poza klasztor, a dzika zwierzyna nie mogła do niego wtargnąć. Krowy dla mleka, owce i kozy dla mięsa, dzikie świnię, które wypasano nad rzeką, czy króliki i kury, które samopas hasały po zarośniętych trawą klepiskach stanowiły majątek klasztorny. Opiekę nad nimi sprawowali chłopcy z obowiązku, a mnisi dla chwały Pana.

Widząc, że chłopci konie karmić zaczęli, wędrowiec podszedł do przyzmy gnoju znajdującej się tuż przy wrotach do obory. Chwyciwszy widły, począł podawać do żłobów siana z drewnianego wozu. A kiedy konie się zbliżyły, poklepał każdego z osobna po szyi i pozwolił im się obwąchać. Marcin przywitał się z będącym tam starym mnichem Doborem i wrzasnął na chłopów, by mniej opieszale karmili zwierzęta, bo kilka z nich stanowiły własność opata. Ten się gniewał, gdy jego trzodę zaniedbywano. Stary mnich obserwował wędrowca, który konie obłaskawił i po chwili wszystkie skubały siano wprost z jego dłoni. On coś gadał do zwierząt, przykładał usta do ich nosów, potem lekko dmuchał w nozdrza.

Kiedy zwierzęta się posiliły, mnich wyskoczył z zagrody, podpierając się drewnianego ogrodzenia jedynie ręką. Otrzeptał ręce i niby nigdy nic, składając dłonie, udał się w kierunku budynków. Dobor nie odrywał od niego wzroku. Wędrowiec dotarł do swojej celi, wszedł do pomieszczenia. Było chłodne z drewnianym posłaniem i ceglana posadzka. Zamknął za sobą drzwi. Zdjął odzież i położywszy się na posadzce, rozłożył ręce, by przyjąć kształt krzyża. Leżał tak i modlił się w duchu, nie wypowiadając słów. Nie wiedział, że jest obserwowany przez tajemne okienko w suficie pomieszczenia. Leżał do następnego rana, by kiedy koguty zapieją, podnieść się i odziać. Kiedy był już gotowy, przyszedł po niego jakiś zakonnik i wskazał mu drogę, zaprowadził do izby, gdzie podawano posiłek. Kiedy się posilił, wezwano go do jakiegoś zakonnego dygnitarza. Wszedł do pomieszczenia i stanął przy drzwiach. Dygnitarz, widząc go, odłożył pióro, prześwietlił wzrokiem i rzekł:

– Podobają ci się moje konie?

Ten przytaknął i odpowiedział:

– Podobają mi się konie. To wspaniałe zwierzęta. Dzikie są trudne do okiełzania, ale zniewolone stają się posłuszne i wierne. Dzięki nim możemy być szybcy jak wiatr.

Dygnitarz odczekał chwilę, po czym szorstkim głosem wydał polecenie:

– Skoro zostałeś przysłany do służby Bogu w naszym zakonie, będziesz od dziś paść świnie w przyklasztornej stajni. Tym samym będziesz bliżej koni.

Wędrowiec odparł ze spokojem.

– Zaszczycony jestem wykonać twoją wolę, panie. Wywiąże się ze swych obowiązków na chwałę Najwyższego. Zrobię jak każesz. Świnie to też stworzenia boże. Na imię mam Jakub...

Tamten wtrącił:

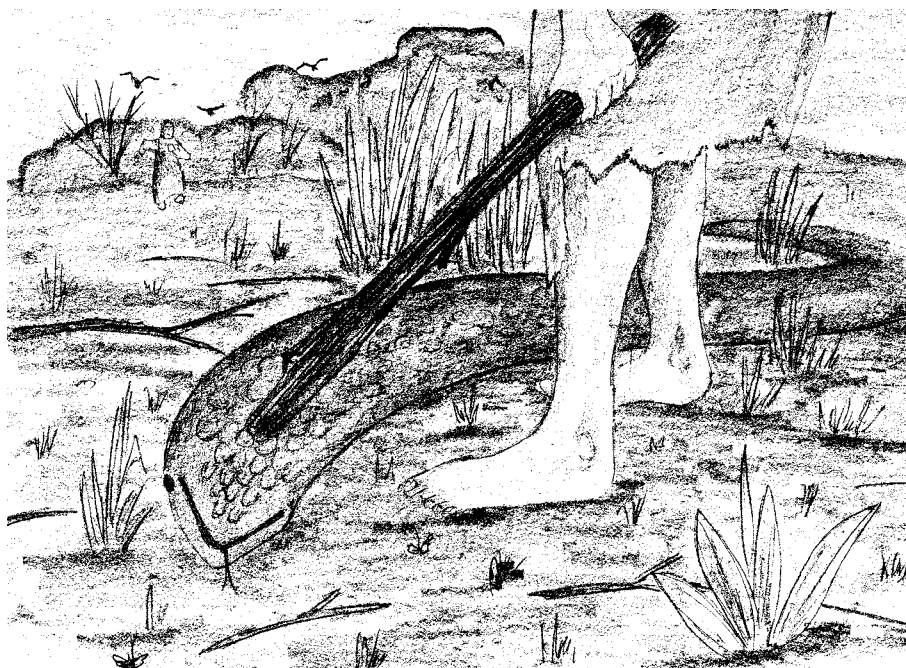
– Nie obchodzi mnie twoje imię. Idź i czyń, co ci nakazałem do czasu, aż zdecyduję inaczej.

Więc poszedł Jakub i zajął się świniami. Nie widział tedy klasztoru, ani nie oglądał oblicza Boga. Nie słyszał słów o Chrystusie, a jedynie świńskie odchody naznaczały mu cel najbliższych dni i miesięcy. Pracował wytrwale i ciężko. Z rana owce wypędzano na łąki, zaś świnie na podmokłe ziemie przy korycie rzeki, by je wieczorem zaganiać w ochronie przed wilkami do zagród i obór. A po dniu ciężkiej pracy pasterze zasypiali w drewnianych szopach, w sąsiedztwie zwierząt. Chodził

więc Jakub za trzodą i strzegł każdej sztuki, jakby rodziną był z warchlakami. Towarzyszyła mu gromadka dzieci ze wsi, które w swych beztroskich zabawach obrzucały się błotem.

Pewnego dnia jedna z bawiących się dziewczynek o imieniu Nadzieja, biegając po mokradłach bosymi stopami, nadepnęła na jadowitą żmiję, których w tej okolicy, zwłaszcza w rejonie mokradeł, było mnóstwo. Nawet bociany, których liczne gniazda otaczały klasztor i pobliskie wsie nie zdołały wytepić groźnych gadów. Podniósł się krzyk pomiędzy dziećmi i płacz zranionej. Mnisi, zaganiający zwierzęta, zaalarmowani wołaniem o pomoc, pobiegli do miejsca, gdzie doszło do tragedii. Był tam Jakub i Filip oraz senior wśród zakonników, Dobor. Kiedy zbliżyli się do tego miejsca, ujrzeni leżącą na ziemi dziewczynkę, posiniałą na twarzy, z kroplami potu na czole. Jakiś chłopiec złapał za rękę Jakuba i pociągnął w stronę kępy traw. Pokonawszy kilkanaście kroków po błotnistym podłożu, wskazał palcem i powiedział:

– Zrobiłem, co mogłem, zabiłem gada! Teraz ty pomóż mojej siostrze.



Jakub spojrział na ubitą żmiję. Była wyjątkowo duża, więc pewnie jad też miała silny. Leżała wywróconym ku niebu, jasnym brzuchem tuż przy kępie, przy dziurze w ziemi, w której miała zamiar się skryć. Chłopiec trzymał kij i wpatrywał się w martwe ciało, jakby nie dowierzał, że gad już nikogo nie skrzywdzi. Kiedy Jakub doszedł do dziewczynki, ta trzęsła się, a z oczu wyciekały na brudne policzki łzy wielkie jak groch. Jego towarzysze szeptali między sobą po łacinie:

– Jej już nic nie pomoże poza modlitwą.

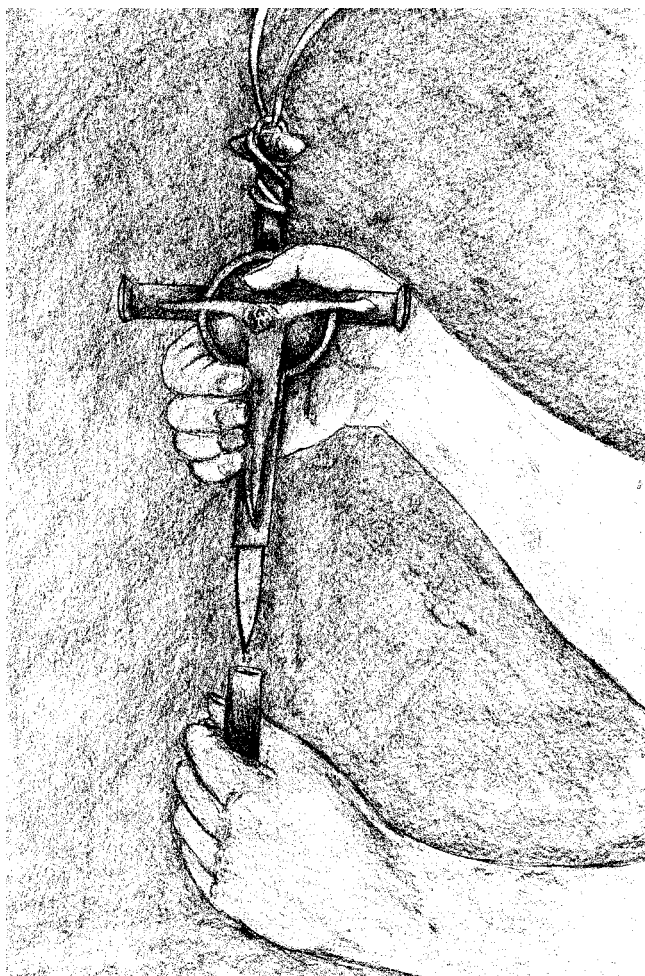
Spojrzał na nich Jakub i rzekł:

– To módlcie się, bracia, a ja zrobię to, czego mnie nauczono.

Po tych słowach chwycił dziecko na ręce i wyniósł z mokradła. Będąc już na suchej ziemi, położył ją na piasku. Zbiegli się ludzie ze wszystkich stron. Ktoś podał mu wody w glinianym dzbanku. Przemył więc nóżkę i zdjawszy z szyi krzyż, szepnął:

– Moimi rękoma Bóg chce ci pomóc.

Następnie rozłożył go w ten sposób, że odciągnął jego dolną część, pod którą ukryte było ostrze. Dotykał rany swymi palcami. Tuż powyżej kostki widział dwa ślady jadowych kłów. Masował przez chwilę okolice krwawiących ran, by w końcu znieczuła, zdecydowanie i energicznie ostrym jak brzytwa krzyżem rozciąć nogę. Dziewczynka wrzasnęła z bólu i omdlała. Jakub ścisnął nóżkę wokół rany tak, jakby chciał z niej wycisnąć wszystką krew. Potem, przyłożywszy swe usta, wysysał z niej i wypluwał czerwoną ciecz.



Gdy skończył, przywołał chłopca, który wskazał zabitego gada i nakazał mu naznosić liści chrzanowych. Dzieciak pobiegł pod mury klasztoru, gdzie nazbierał szerokich, zielonych liści. Potem mnich zawinął nogę szczelnie i ciasno, po czym zaniósł dziecko w kierunku domostw. Tam powiadomieni już rodzice ze łzami w oczach czekali przy drzwiach chaty. Jakub wniósł dziewczynkę do izby i nakazał, by jej ranę okładać i cierpliwie czekać. Rzekł do wystraszonych ludzi:

– Jeśli jad wypłynął z krwią, będzie żyła. Może trochę pochoruje.

Wychodząc z chałupy, pobłogosławił izbę i będących w niej ludzi. Na zewnątrz podbiegł do niego chłopiec, który wcześniej zabił gada i chwyciwszy go za dłoń, powiedział:

– Jak przeżyje moja siostra, dam ci pieniędzy.

Jakub uśmiechnął się i pokiwał głową. Pomyślał, skąd malec może mieć pieniądze, ale to chęci są ważne, więc wystarczył mu uśmiech malca. To jedyna, jakiej pragnął zapłata. Dodał tylko:

– Byłeś dzielny, zabiłeś żmiję.

Opat wezwał Dobora do siebie. Kiedy starzec wszedł do komnaty, dygnitarz z szacunkiem podniósł się z krzesła i wyszedł na spotkanie. Zapytał o zdrowie, po czym przeszedł do sedna sprawy.

– Jesteś, bracie, doświadczonym w życiu i modlitwie, jesteś najstarszym pośród nas i z twoim zdaniem liczyć się muszę.

– Jestem jedynie sługą bożym – z pokorą odrzekł tamten. – Pytaj, o co chcesz. Zawsze służyłem i będę ci radą służył.

Opat spojrział w okno wychodzące na dziedziniec. Chwilę się zamyślił i zapytał:

– Co sądzisz o tym, który niedawno do nas przybył?

Dobor po chwili milczenia oznajmił:

– To dziwny człowiek. Mało mówi, dużo wie. Widziałem, jak ratował dziecko wieśniaków przed jadem gada. Jest posłuszny i pracowity.

Opat wtrącił:

– Wydaje mi się, że w jego przybyciu kryje się jakaś tajemnica.

Dobor spojrział na niego dobrotliwie i rzekł:

– Każdy z nas, bracie, ma jakąś tajemnicę. Jeśli Bóg zechce, objawi i jego sekret.

Opat przytaknął.

– Masz rację. Każdy posiada jakąś tajemnicę. A co z listem, który przywiózł?

Starzec ożywił się i rzekł:

– Ukryłem go w kaplicy. Oddam, kiedy biskup nawiedzi nasz klasztor w czasie wizytacji i stanie się tak, jak nakazuje prawo.

Dygnitarz zastanowił się chwilę, po czym na odchodne dodał:

– Miej go w swej opiece, bracie, czuwaj nad jego ciałem i duszą.

Starzec pożegnał opata, ale kiedy wyszedł na korytarz, powiedział sam do siebie:

– Ciało jego jest sprawne i silne, a dusza pewnie cierpi.

